Nro 27.

TYGODNIK POLSKI.

Pismo poświęcone literaturze, obyczajom i strojom.

Lwów, 1 lipca 1848. Rok dziewiąty.

Wychodzi co sobota. Przedpłata z rycinami, rocznie 10 zr., półrocznie 5 zr., bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. m. k. Na prowincyi dopłaca się za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. m. k. We Lwowie przyjmuje się także prenumerata kwartalna, z rycinami 2 złr. 30 kr., bez rycin 1 złr. m. k. Z prowincyi można nadsyłać pocztą należytość prenumeraty pod adresem wydawcy, Tomasza Kulczyckiego, nr. 301 we Lwowie.

Literatura i życie.

„Spokoju! spokoju! spokoju!“ spiewał przed półtysiącem lat słowik Aretyński w najpiękniejszej kanconie swojej; spokoju i niczego więcej, pragnął przed dwoma tysięcy lat mędrzec grecki w obec zdobywcy świata; spokojem pozdrawiał braci uczeń Nazarejczyka; spokoju domagają się też zwolennicy filozofii dzisiejszej, i zniecierpliwieni tak długiem oczekiwaniem pożądanego daru niebios, prawią, że spokój już tuż za drzwiami, że spokój to synteza ich tezy i antitezy, że oni tę jednię filozoficzną znaleźli, że odtąd zginął dualizm, a nastąpi zgodność między zwaśnionemi żywiołami duszy i ciała.

Ale w rzeczywistości gdzież jeszcze spełnienie owego słowiczego westchnienia poezyi, gdzie ziszczenie „słowa bożego“, gdzie zadośćuczynienie owej rezygnacyi filozofa greckiego, i gdzież prawda chełpliwej przepowiedni filozofów dzisiejszych?

Pragniemy ustawicznie tego przyszłego kiedyś spokoju, tej jedni, a tymczasem wierzymy ciągle w dwoistość ciała i duszy, teoryi i praktyki, myśli i czynu — literatury i życia. Dość sprzeciwić się zdaniu czyjemuś, aby w zelżenie otrzymać nazwę realisty albo idealisty, gbura lub gapia. Nim więc kiedyś spełnią się „słowo boże“ i przepowiednia mędrcza, nie pozostaje dziś nic innego, jak starać się bogdaj o porozumienie się względem istotnego stosunku jednej spornej strony do drugiej, teoryi do praktyki, czyli jak tu w szczególności na tę kwestyę się zapatrujem, literatury do życia.

Jeśli wolno użyć obrazu, zdaje się literatura być duchową atmosferą życia narodowego. Jak ziemia przez ciągłe wyziewanie najsubtelniejszych swych cząstek szeroką odziewa się powietrznią, bez której piersiom tchuby nie stało, słońce ciepła użyczaćby nie mogło, słowem całe życie fizyczneby zamarło, tak też naród, który się raz wzniósł do godności życia umysłowego, wyziewa, że tak powiemy, najsubtelniejsze cząstki swojego życia, swoje myśli, w takąż umysływą powietrznię, która nawzajem staje mu się źródłem dalszego życia, której przygniecenie własny jego żywot przygniata, której zupełne odjęcie otrętwiłoby go moralnie, jak moralnie otrętwionemi, martwemi są narody, nie żyjące umysłowo, nie mające literatury. Ztąd wszystko, co rzeczywistego, żywotnego jest w życiu, ma swój odblask w literaturze, i nawzajem wszystko co w literaturze głos przybiera, wyszło z wnętrzności życia. Jest przeto literatura niejako ciągłą umysłową reprezentacyą narodu, jest świadomością życia narodowego, sumieniem narodowem. Zagodzenie sumienia z życiem zapewnia narodowi najwyższe szczęście — swobodę wewnętrzną, za którą prawie zawsze idzie zewnętrzna; jednostronne skrzywienie, materyalne grzechy życia narodowego, przygłuszają sumienie, oniemiają literaturę, jak to widzimy we wszystkich epokach dowolności, wygórowania jakiejkolwiek niewoli w dziejach, czyto np. niewoli szlacheckiej w Polsce, czy niewoli rewolucyjnej we Francyi pod koniec zeszłego wieku i za czasów cesarstwa. Nie zaumiera i wówczas literatura całkowicie, ale zamiast harmonijnego wtórzenia życiu, odwraca się ona z wzgardą od życia, a głos jej staje się głosem gorzkich wyrzutów sumienia, głosem nieszczęsnej wróżby, aczkolwiek głosem na puszczy.

Zwróćmy się od tych uwag ogólnych do przypatrzenia się szczególnemu stosunkowi naszej własnej literatury dawniejszej do życia narodowego.

Od połowy szesnastego stólecia zaczął w Polsce brać

górę ta przewagę jednego stanu, która w następnych dwóch wiekach w tem boleśniejszą ludowi niewolę się wyrodziła, im spanialszą była wolność stanu panującego. W tym względzie nie można czynić porównanania między Polską a krajami obcemi. W innych krajach chłop jęczał w równej a częstokroć cięższej jeszcze niewoli, lecz nie miał przed oczyma widoku tak świetnej, później tak wyuzdanej swobody szlachty. Polska była ziemią wolności, lecz ponieważ swoboda, jak wszystko w życiu, organicznie się rozrasta i upowszechnia, przeto musiała ta wolność pierwotnie na małą ograniczać się klasę, a wyłączona od niej klasa uczuć się w tem sroższem poniżeniu, przejmować się tem głębszą ku swoim szczęśliwszym braciom niechęcią, aby sobie kiedyś tem niezawiślejszą od tego niegdyś uprzywilejowanego stanu, tem demokratyczniejszą wolność wyjednać. Wszakże ta droga przez przeciwieństwa, ten tryb rozszerzania się swobody przez tem bardziej zrazu rażącą niewolę ludu, jakkolwiek historyi naszej właściwy, wydawał się pojęciu ludzkiemu słusznie przeciwnym, niesprawiedliwym, i o ile życie narodowe przemożnie w tę stronę się paczyło, o tyle sumienie narodowe, literatura, podupadając wraz z podupadaniem dobrego bytu włościan, bezprzestannie ten jednostronny kierunek, ten grzech dziejowy narodowi wyrzucała, cierpkiem karciła go upominaniem, groźnemi chciała go upamiętać wróżbami.

Przez cały dwuwiekowy przeciąg literatury brzmi nieprzerwanie ten głos wyrzutu i przestrogi. Posłuchajmy dla tem jaśniejszego przekonania się, niektórych, bynajmniej starannie nie zebranych a owszem na pierwszy rzut pamięci nasuwających się dźwięków jego.

Już za panowania Stefana Batorego przemawia Krzysztof Warszewicki w dziele *De optimo statu libertatis*: „Spojrzyjcie na ciężki ucisk włościan, na codzienne ich katusze ze strony panów. Żyją w niedostatku i nędzy, bez publicznej opieki, bez sędziego, bez prawa, owszem nawet bez króla a czasem i bez religii, gdyż na podobieństwo bydląt bywają gdzieniegdzie nawet we dni świąteczne do pracy zniewalani, i za nic w świecie nie śmieliby obrony króla przeciwko panom swym wezwać“.....

Mało co poźniej odzywa się głos Sebastyana Petrycego w dziele Polityka Arystotelesowa: „Plebei są niewolnicy szlacheckiego stanu, bo u niego robią, nie mogą od niego odejść kiedy chcą.... Plebejusów żywot w ręku jest panów swoich i śmierć, gdyż mają *vitae et necis in illos potestatem*... Plebei nie są pewni majętności swej, bo za lada przyczyną pan majętność weźmie, rozszarpie, coby miał bronić, a gdy go będzie chciał o to pozywać, zabije. Nie pewni są zdrowia i żywota swego, bo oszacowany jest za 60 grzywien albo za 30; nie pewni są chałup i domów swoich, które z pracy swojej murują abo budują, bo szlachcic ma tam połowicę tytułem gospody..... Plebejusów dwój jest ordynek. Jedni w miastach i wsiach królewskich, drudzy w szlacheckich. Pośledniejszych (tych ostatnich) większa jest niewola niż pierwszych. Zabije szlachcic chłopa swego, żonę mu weźmie, dziewkę zelży, nie pozwie go nikt o to. W królewskich dobrach imaginacyjna swoboda.... Owo wszędzie biada, wszędzie niewola, wszędzie ucisk i udręczenie serca na pospólstwo nędzne. Ale panowie obaczcie się, a wzdy kiedy uważcie, iż bez tych ludzi nie możecie się obejść, nie możecie swych potrzeb mieć, nie możecie swoich wczasów mieć. Ludzie są nie bydło; wam równi rodzajem, prawem tylko różni i wychowaniem.“

Jeszcze surowiej wyrzeka sławny z prawości wojewoda Poznański Opaliński w swoich politycznych satyrach, mianowicie w rozdziele „o oppressyi chłopskiej“ w Polsce:

„Rozumiem że bóg Polski za nico nie karze
Więcej, jak za poddanych krwawą oppressyją
I gorzej niż niewolę. Jakoby chłop nie był
Bliźnim nie tylko twoim, ale i człowiekiem!
Serce się oraz lęka, skóra drzy, wspomniawszy
Na tę niewolę, która cięższa niż pogańska.
A dla boga, Polacy! czyście oszaleli!
Wszystko dobro, dostatek żywność wszystkie zbiory
Z waszych macie poddanych. Ich ręce was karmią,
Przecie się tak okrótnie z nimi obchodzicie!“

I w tym tonie przechodzi poszczególnie wszelkie sposoby ciemiężenia ludu wiejskiego, zaczynając od ciężarów w robociznie:

„Naprzód jakie ciężary w samych robociznach!
Gdzie bywało dwadzieścia kmieci albo więcej,
Tam ich ośm albo dziesięć, a przecież to zrobić
Każą dziesięci, co ich dwadzieścia robiło!
Gdzie przedtem wychodziło ludzi po jednemu
Z domu, potem i po dwu, po trzech i po czterech.
Gdzie dwa dni albo i trzy w tygodniu robili,
Teraz nie mają czasem wolnego żadnego.
Gdzie wolny szynk piw bywał zwłaszcza w xiężych dobrach,
Teraz i to odjęto.....
Nie spominam o zdzierstwach, które z chłopów czynią.

. . . .

Ale spyta kto: Jużeś wszystko wypowiedział?
Stu gąb i stu języków (i to jeszcze mało!)
Potrzebaby na słuszne chłopskich oppressyi
Wyrażenie......“

Mówiąc o gnębieniu ludu jezuicką nauką o czarownicach:

„I tak nie będzie we wsi trzydzieści człowieka
A piętnaście pogłowia spalą! Co dla boga
Za przyczyna? — Pan chory i nie ma wskórania,
Schnie i dzieci mu często umierają w domu....

Ale azaż nowiną i nie z tej przyczyny
Męczyć ludzie? Urzędnik da chłopa obiesić,
O czem nawet pan niewie. Ale cóż wzdy zrobił?
Ukradłże co, czy zabił? Jestże świadek jaki?
Wzdy poczekaj i uczyń wprzód inkwizycyją.
Na co inkwizycyja? Chłop to i poddany."

Wreszcie kończy:

„Też ciężary i teraz krwawej nabawiły
Wojny i srogiej hańby ojczyznę, ba mało
Nie ostatniej już zguby, gdy bóg to *flagellum*
Przez chłopy zesłał na nas.....
Per quae bowiem *quis peccat, per eadem* także
Punitur. Doznaliśmy, ach doznali tego!
Zamykam jakom zaczął, że Bóg Polskę karze
Najwięcej za poddanych, ba, i karać będzie,
Jeżeli się Polaku nie obaczysz kiedy!"

Prawnicy jak Olizarowius w piśmie *de politica hominum* udowodniają uczenie niesłuszność ucisku ludu w Polsce: „Jeżeli według prawa sądzić zechcemy, tedy niewątpliwą jest rzeczą, że chłopi nie są poddanymi lecz wolnymi obywatelami, ile że niewola ich ani z prawa narodów ani z prawa cywilnego dowiedzioną być nie może.... Zresztą nie godzi się bynajmniej zważać na to, co niektórzy śmią utrzymywać, że chłopi w Polsce żadnej krzywdy nie doznają, ponieważ narzucone sobie jarzmo cierpliwie znoszą. Tak jest, znoszą oni je cierpliwie, ponieważ muszą, i ponieważ brzemię ich poddaństwa tak jest ciężkiem, że tym nieszczęsnym ludziom nawet skarżyć się i westchnąć nie wolno; jestto okropne przeznaczenie, przeciw któremu nikt z nich czoła stawić nie śmie. Twierdzenie niektórych, jakoby chłopi dobrowolnie panom swym się poddali, zasługuje na tem mniejszą uwagę, ile że aż nazbyt wiadomo jest, iż chłopi nie zaprzedawali się nigdy swym panom za glebę, na której siedzą, lecz tylko w dziedziczną ugodę czynszową albo czasowy pakt z nimi wchodzili... Chłopi polscy są przeto wolni, a układy jakie między nimi a panami ich istnieją, są najjawniejszym tego dowodem.... Tylko więc gwałt najniesłuszniejszy pozbawił chłopów w dobrach szlacheckich tej wolności, a bezczelnie przez panów przyznane sobie prawo nad życiem i śmiercią swoich poddanych jest piekielnym fałszem, jest kłamstwem najohydniejszego rodzaju."

Dziejopisowie jak Wespazyan Kochowski, wyrzucający narodowi upowszechnienie się okropnego przysłowia „Polska piekło poddanych" (Hist. pan. Jana Kazim. przez niezn. I. 160), Albrecht Radziwił, Rudawski, moraliści jak Szymon Starowolski w „Reformie obyczajów", kaznodzieje jak J. A. Krasiński w mowie do Henr. Walezyusza, Marcin Białobrzeski w swojej Postylli, osobliwie zaś Fabian Birkowski zapowiadający narodowi zagładę imienia za krwawe ciemięstwo ludu, — wszyscy przemawiają grzmiącym głosem sumienia do narodu. Poparcie tego głosu strasznemi klęskami krajowemi przywiodło naród na jedną krótką chwilę do opamiętania. W połowie siedmnastego wieku powracający z tułactwa król Jan Kazimierz czyni w katedrze lwowskiej przed obrazem najświętszej panny, ogłoszonej patronki i królową Polski i Litwy następującą w skruszeniu serca spowiedź i obietnicę: „A ponieważ widzę z wielką serca mego boleścią, że za jęki i ucisk chłopstwa w krajach rządom moim poruczonych chciał matko i panno najświętsza syn twój, sędzia sprawiedliwy, aby grasowały przez to siedmiolecie powietrze morowe, głód, ogień i wojna, tedy przyrzekam i ślubuję, że po utwierdzeniu pokoju społem ze wszystkiemi stanami królestwa, wezmę się całą duszą na wszystkie sposoby aby raz włościaństwo polskie od niesprawiedliwych ucisków i krzywd było uwolnione. Racz tylko ty królowo i pani, któraś mi podała myśl, abym takowy ślub uczynił, uprosić u twego syna łaskę ku wypełnieniu tego, co przyrzekam i ślubuję."

Dzień tego strasznego wyznania i ślubu, 1szy kwietnia 1656, miał być po wieczne czasy jako utwierdzająca naród w wyznaniu i ślubie tym rocznica solennie obchodzony, wszakże w praktyce została ta teorya istotnie tylko pięknem *prima aprilis*. Dawny jednostronny stan przetrwał, praktyka materyalizmu, samolubstwo, przemogły wybredną teoryę, literaturę, której nic innego nie pozostało, jak pocieszać się słusznością swoich wyrzutów, coraz widoczniejszem sprawdzeniem swych gróźb i wróżb.

Bo teorya, literatura, jakkolwiek są świadomością, sumieniem życia narodowego, nie kierują niem przecież, a przynajmniej nie kierowały niem dotąd bezpośrednio. Życie historyczne upładnia się tylko czynem. Dopóki pewien czyn, jak np. przepowiedziany poprzedniemi głosami upadek kraju z powodu ucisku ludu, jest dopiero w idei, w słowie, w jasnem pojęciu teoryi, nie zmienia on stanu rzeczy. Dopiero gdy on sam życiem się stanie, kształtuje się dalszy rózwój życia według niego; wymaganiom teoryi dzieje się zadość, ale jeżeli nie zupełnie po niewczasie, tedy przynajmniej arcy poźno!

Ogranicza się więc przeznaczenie literatury na piękną ale niewdzięczną rolę wieszcza, niesłuchanego ani w swych wymaganiach ani w swych wróżbach, zagłuszonego zwykle wrzawą nieświadomych własnego samolubstwa krzykaczów, zarozumialców, i ślepo za nimi garnącą się trzodą, a uczczonego dopiero przyszłością, krwawem zwycięstwem swoich czynnie przez życie przebijających się następców.

Maż to jednak być wiecznym porządkiem rzeczy? Nie maż teorya, literatura, nigdy bezpośredniejszego

udziału w życiu osiągnąć? Nie mażnastąpić kiedyś ta od tak dawna upragniona jednia między teoryą a praktyką, między literaturą a życiem? to przymierze między duchem a ciałem? ten przez poetów, filozofów, opowiadaczy słowa bożego zwoływany spokój zwaśnionych żywiołów świata?

Miejmy nadzieję, że nastąpi. Toć ludzkość cała, jak pojedyńczy człowiek, nabywa doświadczenia. Tylokrotnie powtarzane klęski jednego rodzaju zwrócą koniecznie uwagę jej na jednostajny wciąż rodowód nieszczęsnych przyczyn i skutków. Aż wreszcie historya stanie się na prawdę tem, czem ją już przed dwoma tysiącami lat mieć chciano — nauczycielką życia.

Ale wówczas bogdaj ta doświadczoność, ta bezsamolubna, beznamiętna mądrość życia nie była oraz przygaśnieniem tak wrząco i namiętnie dotąd gorejącego ogniska w piersiach ludzkości! Bogdaj, jeśli dotychczasowa gwałtowna, namiętna przeszłość może francuzkiem powiedzieć o sobie przysłowiem: „*Si jeunesse savait!*“, zmędrzała przyszłość nie musiała powiedzieć dalej o sobie „*Si vieillesse pouvait!*“ Bogdaj ów upragniony spokój nie był spokojem starości!

Poeta z ludu.

Jeszcze ściany naszego więzienia nie opadły, jeszcze kordon braci od braci dzieli, ale użyczono nam nieco świeżego tchnienia, dozwolono przez okno więzienne widoku w odległą krainę przyszłości. Jakkolwiek to nie wiele, czemuż i to tak późno nastąpić, tyle kosztować musiało ofiar! Ofiar — nie tylko jawnem męczeństwem, w lochach więziennych, na palu szubienicy poległych, ale straconych trzykroć boleśniejszą, bo niezaszczytną śmiercią znękania wewnętrznego, bezczynnego strawienia się w powszechnym bolu niewoli. Straty takie były tem dotkliwsze dla narodu, jeżli pozbawiały go cennych latorośli tej warstwy społeczeństwa, na której przyszłość jego polega — warstwy ludu. Wszakże dla synów ludu było niebezpieczeństwo znękania najgroźniejsze. Niewola całego narodu i niewola stanu zbyt ciężko podwójnem gnębiła ich brzemieniem, aby najpiękniejszy zaród pod niem nie zmarniał. Zwłaszcza jeźli to podwójne przekleństwo łączyło się z boleśnem błogosławieństwem ducha i serca poetycznego. Natenczas kilkoletnie więzienie niemieckie, a po szczęśliwem przypadkowie odzyskaniu wolności, sroższa jeszcze niewola społeczna, sroższa jeszcze walka z pętami tej mniemanej wolności, z cichą, bezimienną, ugrzecznioną tyranią towarzystwa, były nieuchronnym losem tych nieszczęśliwych rozbitków, dla których stopy jeszcze lądu pomiędzy nami nie stało. Ginęli też bez pomocy na mieliznie, i dopiero nad ich grobami, po powszechnem zamąceniu żywiołów, śród rozbicia dawnego towarzystwa, zaczyna powódź upływać i wyrasta z głębi grunt dla nich. Jeszcze kilka lat cierpienia, a poczucie tego ustalającego się pod stopą gruntu, odetchnienie tem swobodniejszem powietrzem, które nam do więzienia wpuszczono, byłoby ich ocaliło. Gdyby tylko kilka lat tonąć można!

Takito los dostał się w udziele nieszczęśliwemu J. Szymańskiemu o którym jużeśmy raz wspomnieli, synowi mieszczańskiemu z Sambora, zmarłemu roku 1835, wnet po wyjściu z więzienia, prawdziwemu acz nieznanemu poecie z ludu. Kiedy czasu do stawiania pomników zbędzie, zbiór jego poezyj stanie także jednym z żałobnych pomników onego czasu cierpień, smutnym jak samotna, głogiem tylko uwieńczona mogiłka na pustem polu. Następujący zaś wiersz jego zda się mimo całą swą łzawą rubaszność istnem westchnieniem zpod głazy.

Pod wiechą.

Na anioł pańskie biją dzwony farne,
Smętna niedziela, już zmrok szary pada,
Chmurzyska ciągną leniwe i czarne,
I z ulic pustych wicher pomieć skrada.
Blaszana z dachu skwierczy chorągiewka,
A ja samopas błądzę między domy,
A w onym domu, zkąd świąteczna spiewka
Brzmi do muzyki, i gdzie znak ruchomy
Sosnowej wiechy kiwa u poddasza,
Jak gdyby mówił: wnijdźcie dobrzy ludzie!
Czeladka miejska, zacna wiara nasza,
Po tygodniowym weseli się trudzie.
Rzępolą skrzypki, gadulą basetle,
Czapy migają w tanecznych obrotach,
Kurzawy tuman, jak po suchej mietle,
Po granatowych wznosi się kapotach.
Widać: przy świecy w oknie junak młody
Z sklenicą stoi, dziarski zawedyja!
Żartując cmoka dwie śliczne jagody,
I duszkiem w ręce towarzyszów spija.
Kolejno życzą szczęścia staruszkowie,
Co się oparłszy o ściany, na ławach,
Przy słodkim trunku i przy słodszem słowie
Miejsce zabrali w sędziwych postawach.
Ha, to pan młody, bo i głośny! Widać,
Jak wszystkie za nim zwracają się czépki!
Krzyknie, już Żydek spieszy miodu przydać,
Gadulą basy i rzępolą skrzypki.....
Czemże powiększyć szczęście tego stanu!
Prosta radości, szczera, rzeczywista!
Choć tu nie słychać dźwięków fortepianu,
Salon nie lśniący, choć nie znają whista;
Serce weselsze, gdy licha kaleta;
Kogo na grajcar zły lub dobry stanie,
Zagra marjasza, noska i labeta.
Ach! tu nie tają wzajemne kochanie!

Obym też wrócił do lubej prostoty,
Ocukrowanych pozbył się katuszy,
A opuściwszy poły mej kapoty,
Baranią czapę zawdziawszy na uszy,
Ze trzciną w ręku szedł powoli sobie,
Bez trosek, zgryzot, od kuma do kumy,
Tylko zapłakał na kochanych grobie,
Tylko po kraju smętne spiewał dumy.
A i by bóg dał poznać jaką Kasię,
Być polubionym i równie polubić,
Nie być dzielonym, bo każdemu zasię
Między dwa serca swoje grosze wściubić!
Gniazdo mieć własne, pomierne dostatki,
Ojczystą rolę własną ręką zwlekać,
Mieć wierną żonę i potulne dziatki,
Oh, i to niebo! Polski! się doczekać.....

Coż mi dzisiejsze bujne ideały?
I czucie tkliwsze, co piersi napawa?
Gdy krew wysycha, oczy wygorzały —
Sławne nieszczęście i nieszczęsna sława!

W Przemyślu 1835.

Obrazy lechickie.

I.

Margrabia Gero.

Kilka wieków temu, cała przestrzeń ziemi od Wisły aż do Elby, od Warszawy aż do Hamburga, tworzyła jedną ojczyznę, była zamieszkaną wielkim jednego plemienia ludem, zwanym niekiedy lechickim. Nie ręka ludzka, nie polityka zaborcza, ale sama natura rozczłonkowała tę ogromną całość w pomniejsze grona. Gdzie pośród leśnych przestworz kilkudziesięcio-milową doliną ciecze rzeka, tam ludność słowiańska gęstszemi wzdłuż wody zagnieździwszy się osadami, zrosła się w niby odrębny lud mniejszy, w odrębną krainę. Bliższe krainy składały większe powinowate gałęzie, mające jednakowe bóstwa, świątynie, obrzędy i zwyczaje; dalsze krainy różniły się rozmaitością odcieni jednego w istocie obyczaju. Liczono do pięćdziesięciu takich różnych krain i ludów między samą Elbą a Odrą.

W północno-zachodnim kącie tej obszernej dziedziny, daleko za Berlinem, w głębi dzisiejszych Niemiec, rozciągała się wzdłuż rzeki Wranawy takaż lechicka kraina Wrańców czyli Warnawów. Jak lud Wrańców był twardy i bitny, tak też ziemia jego była nieozdobna, jałowa. Blizki Bałtyk uścielił ją zdawna piaskami; zdaleka szarzały jakieś graniczne pasma leśne, lecz na samej dolinie tylko wybrzeża rzeki i sterczące gdzieniegdzie wzgórza zieleniały gajami. W zaroślach nadbrzeżnych ciągnęły się osady a właściwie tylko długim łańcuchem rozpostarte zagrody samotnicze; wzgórzyste gaje były po większej części poświęcone bogom, mianowicie głównemu stron tych bóstwu Radegastowi.

Ludna, gwarna, brzmiąca spiewami i tysiącznemi odgłosy w czasach pokoju, we dnie obrzędów świątecznych albo zborów gromadnych, była teraz słowiańska kraina nasza pusta i cicha. Wszelka ludność męzka wyruszyła w dal na wyprawę wojenną, niewiasty strzegły zagród domowych w cieniu leśnym nad rzeką, nadto skwarna głusza południu, odejmująca krainie jedynego ruchu i gwaru ptastwa, uzupełniała jej posępną samotność.

W takiej chwili powszechnego spokoju, z jednej z zagród nadrzecznych szła leciwa już niewasta ku pobliskiemu wzgórzu. Prosta, wszystkim stanom zarówna odzież owego czasu, taż sama co dziś zawojka na głowie, tażsama bramowana sukmanka, tożsamo barwiste obówie, nie podnosiły zewnętrznym przepychem jej powagi, ale ślady głębokich, mężnie znoszonych cierpień na pięknej niegdyś twarzy, przy gorejącym wciąż jeczcze ogniu czarnych słowiańskich oczu, zwiastowały w niej kobietę odznaczoną boleśnemi walkami z losem a temsamem i wyższością swojego stopnia w społeczeństwie, zwykle najczęściej na takie walki narażoną.

W pośrodku niewielkiego gaju, stał dąb rozłożysty, ustrojony dokoła wieńcami z polnych kwiatów, spinającemi się od gałęzi do gałęzi. U stóp starego praojca całego gaju wytryskało czyste źródełko, toczące się wesoło ku skrytemu pomiędzy zaroślami jeziorku. Byłto dąb święty i święte źródło, wróżebne miejsce dla okolicznych osad. Czysta lub mętna niekiedy fala źródła, sposób płynienia rzuconych w nie ziół i kwiatów, spiew tego lub innego ptaka w liściach dębu, rozmaity szum liści i skrzyp gałęzi w wietrze, bywały pomyślnym lub niepomyślnym wyrokiem wróżby.

Ale nasza niewiasta nie przyszła tu z zapytaniem wyroczni. Padła na twarz w cieniu świętego drzewa i kilka chwil w gorącej snać modlitwie strawiwszy, postąpiła głębiej w pośrodek gaju. Dopiero w najskrytszym jego zakątku, gdzie u spodu wysokiego paprociowego krzewu kilka jakby przypadkowie zgarnionych rosoch liścistą kupką sterczało, stanęła, rozsunęła gałęzie i odsłoniła sobie tem otwór do podziemnej kryjówki, dość przestronnej, aby się nią w głąb ziemi zapuścić można.

Przyklękła, nadstawiła chciwie ucha ku otworowi, a potem oglądnowszy się bystrem okiem wokoło, wsunęła się na klęczkach w kryjówkę. Im głębiej w ziemię, tem otworzystszą stawała się jaskinia; tajemnicza wędrowczyni mogła się wkrótce cokolwiek wyprosto-

wać, a wreszcie spuściwszy się jeszcze kilka kroków niżej, stanęła u wnijścia dość obszernej pieczary. Blada struga światła, szarzejąca z otworu, nie dozwalała rozróżnić dokładnie całej przestrzeni podziemnej, lecz niewiasta nasza była znać dobrze z nią obeznana, gdyż zmierzyła na pewno ku jej węgłowi, zkąd jakiś cichy słyszeć się dawał oddech. Nieznajoma pospieszyła ku niemu i z skwapliwszem i namiętniejszem uczuciem niż u stóp dębu świętego, przychyliła twarz ku ziemi, ponad dwoje, na mszystem zielonem łożu spoczywających dzieci. Byłto mały siedmioletni chłopczyna i drobniejsza nieco siostrzyczka. Spali snem południowym, bezpieczni w głębi pieczary jak dwoje w cieniu gałęzi ukrytych ptaków. Matka przyklęknęła nad dziećmi, wyjęła z zanadrza przyniesiony z sobą węzełek z żywnością dla nich, i odgarnąwszy im włosy z czoła, wpatrzyła się po lekkim powitalnym całunku długim w senne ich lica wzrokiem. Najprzód jaśniała w tym wzroku radość macierzyńskiej miłości na widok opuszczonych przez jakkolwiek krótki czas dzieci; nieznacznie jednak wyraz radości zasępił się żalem, litością, a wreszcie sponurzał smutkiem i zasklił się łzami wrzącego wewnątrz bolu.

„Przeklęci Niemcy! Przeklęty Gero!“

Były to jedyne słowa nieskończonej boleści matki. Bo też w tych słowach zawierała się cała treść, cała gorycz jej życia. „Niemcy — Gero“ oto żądło, które przebodło na wskróś jej duszę i dozgonną jątrzyło ją raną. A z nią i lud jej cały zakrwawił się od tego żądła i cierpiał jej cierpieniem.

Była jeszcze młodą gdy przyszła ta boleść na nią. Była młodą, ale świadomą już szczęścia swojej młodości i swobody swojego ludu. Wesoła beztroska jej młodość zdała się tylko jednym śmiejącym się promieniem tego wielkiego światła, jakiem wolność całemu plemieniu jej przyświecała. Już w prawdzie od dawniejszego czasu przemykały chmura po chmurze na tych jasnych niebiosach, lecz żadna jeszszcze nie zaćmiła ich spełna. Wkońcu przecież zwaliła się groźna tucza — Niemcy, „a bylito Niemcy sascy“ prawi owczesna piosnka, wpadli pod wodzą swego nowego króla Henryka najezdniczym tłumem do ziemi zaelbiańskiej, popustoszyli osady, pobudowali sobie drewniane zamki wzdłuż granic, i osadzili w nich żelazem odziane tłuszcze, zgraje zbójeckie, mające swobodny lud słowiański coraz srożej gnębić, ujarzmiać. Na czele ich stanął hersztem margrabia Gero. Młody, bez domu i sławy w własnej ojczyznie, a dyszący chciwie za łupem i imieniem rycerskiem, uważał on nadane sobie wodzostwo nad pogranicznemi zamkami słowiańskiemi za pole świetnych zaborów, za stopień do najwyższej potęgi. Cała Słowiańszczyzna, ze swemi tysiącznemi ludami i krainami, o nieznanych wcale od wschodu krańcach, rozlegała się przed okiem Niemca jakby świat nowy, podobny owemu później odkrytemu światu indyjskiej Ameryki, na którego podbicie tyle podobnież chciwych i srogich spieszyło awanturników. A podbicie „barbarzyństwa“ słowiańskiego zdawało się tem snadniejsze, iż Słowianie na duchu i na ciele w porównaniu z swojemi zaborczemi sąsiady istnemi byli dziećmi. Jak nagie ich ciało, zaledwie lekką osłonione tarczą, szło w nierówną walkę z ciałem niemieckiem, od stóp do głowy w żelazo przyodzianem, tak też i dusza słowiańska zdała się wcale bezbronną w porównaniu z tym fanatyzmem religijnym, który jakby żelazną zbroją umysł Niemców przeciw pogańskim Słowianom hartował. Nadto jeszcze znajdował zaborca niemiecki pomoc i przymierze u zdrajczych xiążąt słowiańskich, którzy dla utrzymania swego rzadko gdzie przez gminowładne ludy słowiańskie cierpianego panowania w ojczyznie, nie wahali się poddać ojczyznę zwierzchnictwu potężniejszych najeźdców, byle sobie samym władzę w domu zachować.

Jednym z takich zdrajców był braniborski xiążę Tugumir, panujący w okolicach dzisiejszej stolicy pruskiej. W łaskach u króla niemieckiego, w przyjaźni z margrabią, uchodził on zrazu u swoich za zręcznego obrońcę swobód ojczystych, dla których ta pozorna przyjaźń z Niemcami chytrą tylko miała być tarczą. W końcu jednakże poznano się na właściwych jego widokach, podniesiono bunt przeciw niemu i wygnano go do jego przyjaciol Niemców. Około tegoż samego czasu zabrał się król niemiecki do dalszego rozprzestrzeniania Niemiec ku zachodowi i południowi, a udanie się jego w tamte strony, wraz z rozbudzeniem ducha słowiańskiego przez wygnanie zdradnego Tugomira, podało myśl raźnego oparcia się grożącemu od Niemców niebezpieczeństwu niewoli. Wszystkie małe ludy lechickie gotowały się do uderzenia na pograniczne zamki niemieckie do powszechnego boju z najezdnikami. Już dzielny, najdalej ku północnemu zachodowi osiadły lud Obotrytów rozpoczął tę walkę napadem na poblizkiego margrabię Hajka, zabiciem jego i towarzyszącej mu drużyny, wreszcie powołaniem odleglejszych plemion pobratnich do spólnego działania.

Margrabia Gero, przesiadujący w swoim nadelbiańskim grodzie stołecznym, w Dziewinie, po niemiecku Magdeburg przezwanym, ujrzał się w srogiem niebezpieczeństwie. Zaskoczyło go ono tem trwożniej im ponętniejsze właśnie zamysły przy zbiegu pomyślnych okoliczności snuły mu się po głowie. Nieprzejrzane krainy słowiańskie łudziły tak powabnym widokiem chciwe oko margrabi, zawojowanie ich zdawało się tak łatwem, zwrócenie się samegoż króla niemieckiego ku innym granicom państwa dozwalało margrabi tem większego samowładztwa na granicy słowiańskiej,

może nawet kiedyś údzielnego w tych stronach panowania — wtem obudzający się w ludach słowiańskich zamiar powstania zagroził zniweczeniem tych pięknych nadziej. Należało więc zapobiedz niebezpieczeństwu, to jest, zamysł zbójeckiego ujarzmienia cudzej swobody coprędzej morderczym poprzeć czynem.

Śród słowiańskich przygotowań do powstania rozesłał Gero po wszystkich słowiańskich ludach wiestników z zaproszeniem ich xiąxąt na wielką ucztę, do Magdeburga. Miano tam właśnie obchodzić uroczystość św. Maurycego, patrona margrabskiej stolicy, przy którejto sposobności chciał Gero, według wyrażenia się zaprosin, zapoznać xiązęta słowiańskie z świetnością nabożeństwa chrześciańskiego i zawiązać ściślej węzeł przyjaźni z niemi. Kiążęta uśmiechnęli się chytrze na te oświadczenia niemieckie, i nie chcąc nieprzyjęciem zaprosin obudzać nieufnośći i podejrzenia, zjechali na dzień przeznaczony. Było ich przeszło trzydziestu — Mieczysław oborycki, Nakon wagirski, Mściwoj ze Starogrodu, Luba zza rzeki Pieny, Gostomysł z ziemi wołyńskiej, Dobremir z krainy syrbskiej, Czedrag z nad Hawoły. Zpomiędzy reszty odznaczał się najbardziej młody xiąże Wrańców Milgost, synowiec wygnanego Tugomira, zawołany wojownik, główny wróg Niemców. Chowając się za młodu przy swoim stryju Tugomirze, nie mógł on znieść widoku jego pobłażliwości dla nieprzyjacioł ojczystych, i nie mając własnego domu, bo wcześnie osierocony, uciekł na morze, gdzie z gronem wiernych przyjacioł, na małych łodziach słowiańskich napadał niemieckie statki, plądrował nadbrzeżne sioła niemieckie. Po kilku latach takiej morskiej wojaczki zawinął wreszcie Milgost na wyspie słowiańskiej Rugii, i poślubił tam córkę xiążęcia Płusy, Sławinę. Wreszcie wsławiony jako bohater i wsparty pomocą swego teścia, wrócił do ojczystej krainy wrańskiej, aby tam wkrótce rządy nad ludem objąć.

Przybyłych gości słowiańskich przyjął Gero z pańską łaskawością. Dano im miejsce przy nabożeństwie, które sam biskup magdeburski z mnogiem odprawiał duchowieństwem. Byłto pierwszy biskup na ziemi nadelbiańskiej, większy dla Słowian postrach od samegoż margrabi, gdyż założenie katedry biskupiej oznaczało zawsze ostateczne podbicie pewnej pogańskiej krainy, ostateczną niewolę. Z trwogą też i nieufnością przypatrywali się xiążąta chrześcijańskim obrzędom, spiewnym wkoło grobu św. Maurycego procesyom, które się im tem wstrętniejsze wydały, iż nagle śród orszaku pobożnych Chrześcian postrzegli swojego ziomka, wygnanego przed niedawnym czasem Tugomira z Braniboru, niosącego z skruszonem obliczem, jak reszta Niemców, jarzącą w ręku świecę. Przyjął on więc jawnie nową wiarę, i do dawnej przewiny względem obyczajów ojczystych dodał nową, najcięższą, zdradę na własnych bogach.

Po nabożeństwie nastąpiła biesiada. W dużej sali drewnianego zamku stały dwa stoły nakryte, jeden mniejszy, w głębi sali, na podwyższeniu; drugi wielki, bliżej drzwi, na cienkich, niziutkich nogach. Przy tamtym zasiedli margrabia, biskup i Tugumir, przy tym, bez stołków, po owczesnym zwyczaju, niedozwalającym przy chrześcijańskiej uczcie zasiąść poganinowi na krześle, przy spólnym stole, xiążęta słowiańscy na gołej ziemi. Przy tamtym stole usługiwali młodzi bezbronni giermkowie, słowiańskim xiążętom podawała strawę i trunki prosta gawiedź żołnierska, zbrojna od stóp do głowy.

Ta obyczajowa zniewaga i widok zdrajczego Tugomira zachmurzyły lica słowiańskim gościom. Dopiero liczne czary miodu, rzęsiście przez zgraję służalczą dolewanego, ożywiły umysł i usta. Sam margrabia zachęcał gościnnie do wesołości. Wrodzona dobroduszność słowiańska przemogła sztuczne względy niechęci; rozochocono się jakby w serdecznem domowem kole. Coraz liczniej przybywało dzbanów z słodkim napojem i drabów posługujących; coraz gwarniej wrzała biesiada.

Wtem ozwie się dumny swojem miejscem Tugomir od chrześcijańskiego stołu do xiążąt: „Cóż, nie słodkiż trunek niemiecki? Jeszcze słodsza przyjaźn niemiecka! Gdybyście nie byli ślepcami, zasiedlibyście z nami tu społem, i nie leżeli tam na ziemi pokotem, jak psy!“

„Milcz zdrajco!“ zawołał Milgost zpomiędzy xiążąt, zrywając się z ziemi i chcąc się przedrzeć do Tugomira — „Niebawem przyjdzie tobie samemu leżeć bez tchu z Niemcami, jak psu zdechłemu!“

Na to porwał się margraf z dobytym mieczem i krzyknął do biskupa: „Słyszysz? Nie wyjawiłże głośnie buntu? Niechże bunt mają! “ Poczem zwrócił się okiem i mieczem do zbrojnej zgrai, otaczającej xiążąt: „Chcą nas wymordować, jak margrafa Hajka z drużyną! Sprawmyż im wprzódy ucztę! „

W oka mgnieniu przygotowana uprzednio tłuszcza poskoczyła do dzieła. Każdy jak stał rzucił się na leżącego przed sobą na ziemi Słowianina i utopił mu nóż w piersi. Jednej chwili cała sala zalała się krwią, zabrzmiała śmiertelnem cherczeniem konających. Upojeni zdradnie poddawanym im trunkiem, zaskoczeni znienacka xiążęta nie byli w stanie żadnego stawić oporu. Jeden tylko Milgost, zerwawszy się do Tugomira, znalazł się w chwili danego przez Gerona hasla mordu w pośrodku mordujących, którzy głównie leżącemi u stołu gośćmi zajęci, spuścili go w powszechnym szale z oka, i dali mu jednym przebójczym susem wyskoczyć z sali. Rzucił on się w rozpaczy

ku komnacie czeladniej, aby służebne drużyny słowiańskie na pomoc albo w zemstę przywołać; ale czuwające w sieni żołdactwo niemieckie, dozwoliło zaledwie jemu samemu ujść z życiem. Rzucił się więc wściekle z sieni na podwórzec zamkowy, z podwórca na miasto, i dzięki snującym się tłumom świątecznym, jako też wkrótce zapadłemu zmrokowi, znikł bez śladu.

Natomiast kto inny pospieszył do orszaków xiążęcych. Skoro krwawa uczta spełnioną została, zdrajczy wygnaniec braniborski, wierny sprzysiężeniec Niemców w tem piekielnem dziele, obryzgany krwią rodaków, która miała być mu namaszczeniem pożądanej przezeń choćby za pomocą najzajedlejszych wrogów, najsroższych zbrodni, królewskiej w narodzie swoim władzy, pobiegł przepuszczony wolno przez straże do komnaty czeladniej.

„Niemcy nas wyrzynają!“ krzyknął do podpiłej drużyny słowiańskiej. „Xiążęta wasi we krwi, bez życia! Ja sam jeden umknąłem szczęśliwym trafem. Uciekajmy, bo zginiem wszyscy!„ — Nieprzytomna czereda zerwała się w okropnej trwodze. Tugomir wyprowadził ich bez żadnego oporu Niemców — dla nichto bowiem, dla utrwalenia margrabiego i Tugomira potęgi służył ten cały podstęp — i środkiem zdumionej gawiedzi miejskiej pierzchnął z drużyną słowiańską z Magdeburga do ziem ojczystych.

Którędy tylko wiodła go droga, rozsiewał wieści o krwawem zabójstwie niemieckiem na xiążętach, o swojem własnem przy tem niebezpieczeństwie, o cudownem ujściu z towarzyszami, o ciężkiej przedtem niewoli swojej u Niemców, o chęci pomszczenia wraz z ludem swojej i wszystkich ludów słowiańskich krzywdy na Niemcach. Obałamucone ludy słowiańskie uwierzyły jego słowom, lud braniborski, ujęty jego kłamanym zapałem zemsty, przyjął znowuż Tugomira na xięcia; jeden tylko był człowiek, który mógł dać świadectwo o jego fałszu — Milgost.

Ten uszedłszy szczęśliwie z morderczej uczty niemieckiej pospieszył do swojej krainy wrańskiej. Ale tuż za nim, jak dobrze wiedział, gnało niebezpieczeństwo nowego, coraz głębszego w serce ojczyzny najazdu wrogów. Nie tracąc więc czasu w gromadzeniu środków obrony, powitał on i oraz pożegnał żonę Sławinę z dziećmi, i nikomu prócz niej zamysłu swego nie powierzywszy, udał się potajemnie za morze, do swego teścia, rańskiego xięcia Płusy z prożbą o rychłe posiłki przeciw Niemcom. Stało się to nim jeszcze Tugumir do krain słowiańskich wrócił. Zdrajczy stryj czuł grożące mu od synowca Milgosta niebezpieczeństwo, wiedział że gdzieś zbiegł pokryjomu, że w tem jakaś złowroga przygotowuje się sprawa, i postanowił dójść koniecznie miejsca pobytu Milgosta.

Udał się tedy wprost do jego żony Sławiny. Przedstawieniem swoich nieszczęść w niewoli niemieckiej ujął niebaczną niewiastę; obrazem strasznej niepokonanej potęgi wrogów wzbudził w niej obawę o męża, stawiącego swe życie na szalę tej groźnej walki; podszeptem: jakie korzyści z rozsądnego jednania z wrogiem dla Milgosta i jego dzieci wypłynąć mogą, podniecił jej samolubstwo macierzyńskie. Zaufała jego obłudzie i w chwili niewieściej słabości zwierzyła mu cel podróży Milgosta, z której on niebawem miał już powrócić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Podziękowanie.

Gdy wszystkie pisma publiczne różne dobroczynne dary zamożnych ogłaszają, niech nam będzie wolno wspomnieć o zasłudze obywatela, który swojem ubóstwem dla dobrej sprawy się dzieli. Jest nim krawiec z Liska Józef Orzechowski. Aby się do tem powszechniejszego zaprowadzenia gwardyi narodowej w miejscu swego pobytu przyłożyć, umundurował on i utrzymuje jednego gwardzistę własnym kosztem. Gdybyśmy się wszyscy na takiego ducha ofiary zdobyć mogli, nie potrzebowalibyśmy prosić o ojczyznę u obcych dworów. Tymczasem cześć jednemu, co tyle dla niej czyni.

Stroje.

Damskie. Tego lata są bardzo używane suknie słomką obszyte, jak np: Suknia z białego muszlinu, stanik z przodu wycięty, kończasty, z wyłogami w zęby wycinanemi, słomką obszytemi; rękawy krótkie, tożsamo słomką obszyte, spodnica ubrana także sześć razy w zęby słomką obszyte. Także kapelusze obszywają się słomką.

Męskie. Paletoty letnie robią się bez szwu na plecach. Stan w plecach jest zwyczajnej szerokości surduta lecz o ośm centymentrów dłuższy; zapięcie na jeden rząd guzików. Kieszenie są niżej biodr, na poprzek połów, przykryte patkami.

Rycina przedstawia: Suknia jedwabna różowa, stanik wysoki, spodnica, jakoteż ramiona, ubrane w zęby wycinane, z tejże samej materyi jak suknia; szal z krepy. Kapelusz z koronek, wyszywany słomką i ubrany bukietem kwiatów, mieszanych z kłosami zboża.

Druga figura przedstawia ubior deputowanego zgromadzenia narodowego francuzkiego; frak i spodnie ze sukna czarnego, kamizelka biała pikowa z wielkiemi klapami, wyłożonemi po wierzchu klap u fraka; u dołu zaokrąglona, tylko do połowy zapinająca się.

Redaktor odpowiedzialny KAROL SZAJNOCHA. *Wydawca* TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.